

ŚWIATŁO

TYGODNIK ILUSTROWANY LITERACKI, ARTYSTYCZNY,
~ SPOŁECZNO-POLITYCZNY, POPULARNO-NAUKOWY. ~



G. GOTTLIEB.



LEGJONIŚCI.

PO PRZERWIE.

Po przerwie dwumiesięcznej wznawiamy wydawnictwo naszego pisma. Nie chcemy schodzić z placówki zajętej i tylko nadzwyczajne wydarzenia czasów ostatnich zmusiły nas do przerwania wydawnictwa.

Wróg zbliżył się pod mury Warszawy, wojna zawisła tuż tuż nad naszymi głowami. Groził najazd, zniszczenie Niepodległości, nowa haniebna niewola.

Dawno mówią: „Gdy oręż brzmi, milkną muzy”. I ktoś mógł w tym czasie grozy i szczerego entuzjazmu patriotycznego mas ludowych, zajmować się piśmem poświęconem kulturze, pięknu, sztuce.

Publicysta, artysta chwycił za karabin, pióro, pędzel, by bezpośrednio służyć walce z najazdem. Odezwa płomienna, walka idei wolności z tępotą obojętności czy złą wolą agitatorów wroga, popularyzowanie hasła obrony, działanie na wszystkie struny duszy filistra, by zbudzić go z martwoży w chwili, gdy dach nad głową płonął, oto była jedyna możliwa w tym czasie praca publicysty, artysty, który nie chwycił za karabin.

Całą Redakcję „Światła” porwał ten huragan wypadków. Jeden w wojsku, drugi w propagandzie, trzeci w akcji organizacyjnej — nie stało ludzi ani możliwości do wydawania pisma.

Czytelnicy zrozumieją to i przebaczą nam uczy-niony im zawód.

Wznawiamy „Światło” i na potwierdzenie naszego twierdzenia, że tylko pokój może dać warunki rozwoju kultury, a wojna je zabija — jak w czasie rozpoczynania wydawnictwa tak samo i dziś nad Polską rozpala się zorza pokoju.

Zda się, że pokój ten przyjdzie nareszcie.

Powtórzmy słowa, które pisaliśmy pół roku z górą temu w pierwszym zeszytcie naszego pisma:

„Niech ta chwila przyjdzie jak najprędzej. Na ruinach będziemy budować nowe życie, będziemy wznosić je gołemi rękami, pozbawieni możności korzystania z dorobku kulturalnego, ale niech się już zacznie ta praca, bo z nią wszędzie nadzieja lepszej przyszłości, która, póki trwa wojna, tonie w strumieniach krwi”.

I tak samo jak wówczas wskazać musimy na konieczność oparcia społeczeństwa na nowych zasadach pracy. Tylko dziś wszystkie te zagadnienia coraz bliższe urzeczywistnienia, coraz bardziej aktualne. Postępowanie reakcji tchórzliwej, obłudnej i podłej domaga się jak najszybszego zakończenia ze wrzodem, hańbiącym Polskę w oczach innych narodów, a nędzę i upodlenie niosącym dla obywateli naszego kraju. Wrzód reakcji nabiera i trzeba go przeciąć.

Wchodzimy w okres walki zaciętej o prawa ludu i wewnętrzną wolność Polski. Stanowisko „Światła” w zmaganiach tych jasne: twardo stać będziemy przy sztandarze socjalizmu i masom ludowym będziemy nieść w ciężkich chwilach płomień sztuki, arcyzmu, piękna, który rozpala ukochanie wolności i wolę walki o jej urzeczywistnienie.

Z. Z a r e m b a.

WYSPA ZAPOMNIENIA.

12)

ROZDZIAŁ X.

Wokoło, jak okiem zatoczyć, wzdymają się i biegną, napierają i rozpryskują się, głębokie, szerokie, siwo-zielone fale. Natężają się, wzbierają, rosną, podchwytyją wszystko na potężny grzbiet, wazą, zawahają się i cisną okrętem w przepaść. Stęka, skrzypi skołatane drzewo masztu pod naporem wyjącego wихru. Chyli, chyli się strzelisty maszt, kładzie się na wodzie. Sięga ku niemu fala spienionym czubem. Liźnie go, bryźnie i znekane drzewce z oporem, ciężko, dźwiga się z powrotem, rozprostowuje się i przechyla się zniewolone i bezsilne na drugą stronę.

Na bocianiem gnieździe, utkwiony w ciasnej becze, trzyma się oburącz za brzegi dyżurny majtek i zatacza się olbrzymiami łukami, od wody do wody. Przez wicher i przez siekący w twarz słony pył patrzy w dal. Odsluguje swoje godziny, kostnieje z zimna, czeka, jak zmiłowania, końca warty. Wpatruje się w rozszalałe wody i rozmyśla.

Co chwila usiłuje zebrać myśli i odgadnąć coś w sobie. Kołowate, wirowate, szerokie wahania, masztu usypiają i obezwładniają myśl. Coś się zaczyna i urywa się, opada. Dźwiga się w nim znowu, wraz z masztem, zakreśli koło i opada.

W oddali, pośrodku pustyni wód, bieleje skąpo zebranymi żaglami nieznajomy jakiś okręt. Ciskają nim fale, napierają ogromnymi wałami, zagradzają mu drogę, powstrzymują go w biegu. Opiera

się, walczy i uparcie kędyś dąży. Pograża się w odmęcie, ginie z oczu, przepada. Wnet odnajduje się, wynurza i niedostrzegalnie, zwolna, przelamując opór, wciąż walcząc, idzie swoją drogą ku czemuś, co zna, czego pragnie. Nieznajomy okręt wydał się patrzącemu rozumną istotą, która skołatana w burzliwym życiu swoim utraciła wszystko, ale nie zatraciła jednego — poczucia swej drogi. Zachował chęć do życia i upór dążenia.

A on nie miał już w sobie nic. Rzadko wynurzało się jeszcze jedno, ostatnie. Było to zdziwione pytanie — po co on żyje na tym świecie, pomiędzy ludźmi? Ach — między ludźmi!... Czyż można nazwać człowiekiem bodaj jednego z załogi? Innych niema.

Od roku nie stąpił nogą na ląd. Przez ten rok trzy razy zawijali do różnych portów, ale Wielki Bydlak dobrze pilnuje swoich ludzi.

Nic, jeno ocean, straszliwa zabijająca praca i bat kapitana, bydlęce upodlenie niewolniczej załogi. Nic, tylko, jako jedyna ulga i pociecha, butla z rumem i martwy, ciężki sen.

Zniewaga, poniewierka — codzienny to chleb a za byle co — baty. Na całym świecie wiedzą, że niema już niewoli i niewolników. I nie uwierzy nikt w opowiadanie majtka z Treyannic'a, czy z innego mniejszego wielorybniczego statku.

Z początku była w tem ulga zatracenia. Była w tem otchłanna rozkosz obłędu, absurdu. Okrutny kapitan, zbój morski stał się jakby ziem, przepożętnem bóstwem, przed którym korzył się w strachu i zgrozie. W jego rękach był jego los, życie i śmierć. W ciężkiej haniebnej niewoli czuł się jednak, jakby pod czyjąś potężną opieką. Niepotrzebował myśleć, ani niczego o sobie stanowić. Aż przyszła okropna chwila ocknienia.

Od tej chwili minął już rok. Wlecze się dalej żywot zatracony, zaprzędany. Na trzy lata podpisał umowę i wie, że nie darują mu jednej godziny. Wie, że idą teraz w bezludzie północy. Nie będzie portu, gdzie bybyło można próbować beznadziejnej ucieczki, po to jedynie, żeby wziąć za to srogie baty. Czuję, że nie zdoła wytrzymać więcej i wiedział, że wszystko zniesie.

A wreszcie upłyną jego trzy lata. Wszystko się kiedyś kończy. Jeszcze dwa lata piekła niewoli i zostanie na jakimś lądzie, w jakimś porcie. Będzie wolny, będzie miał zarobionych kilka tysięcy dolarów.

Co uczyni ze sobą? W którą stronę się obróci? Jak będzie dalej żyć? Czy zjawi się w Zachodniej Australji, w swoim „bush'u” nad jeziorem? Stanie przed żoną i dziećmi? Powie: zabawiłem nieco dłużej, niż dwa dni, ale oto jestem?

Strach go ogarniał przed ową swobodą. Gardził sobą, sztydził ze siebie — ale cóż to pomoże? Był we władzy losu.

Wyciągnął z pod skórzanej kurty butelkę i pił. Drzemał, budził się. Ogarniała go słodka tępość. Zacierala się pamięć dawnych rzeczy, jako czegoś własnego. Była to cudza dola, spowiedź jakiegoś pijaka, i słyszana po pijanemu.

Andrzej Strug.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JACK LONDON.

PYTANIE.

I.

Krótko mówiąc Mistriss Sayther przemknęła przez Dawson, jak meteor. Przybyła wiosną, na psach, z francusko kanadyjskimi „voyageurs“, zabyła olśniewającą przez krótkich kilka tygodni i — odjechała w górę rzeki, jak tylko ruszyły lody. Dawson, mało odwiedzany przez kobiety, zdumiony był tym nagłym wyjazdem. Miejscowe cztery tysiące czuły się osierocone i samotne, dopóki nie zdarzył się strejk w kopalniach i dawne wrażenia ustąpiły miejsca nowym. Całe Dawson zachwycone było Mistriss Sayther i przyjęło ją z otwartym sercem. Była piękna, czarująca, i na domiar wszystkiego — wdowa. Natychmiast otoczył ją poczet złotych królów Eldorado, urzędników i romantycznych młodzieńców, chciwych na szelest niewieścich szatek.

Kopalniani inżynierzy szanowali pamięć jej zmarłego męża, starego pułkownika Sayther, podczas, gdy w Syndykacie i na mieście kursowały przerażające legendy o jego bogactwie i machinacjach. Wogóle znany był, jako jeden ze znacznych złotych przemysłowców w Stanach i jako jeden z najznacniejszych w Londynie. Dlaczego więc wdowa — ta najpiękniejsza z kobiet — tak pośpiesznie zjawiała się w Dawson.

Oto było pytanie.

Ale ludzie północy są realni i żyją słuszną pogardą dla teorii — wraz z głębokim uznaniem dla faktów. A Karen Sayther była niewątpliwym i potężnym. Ją samą jednak mało obchodziły wszelkie adoracje i przez cztery tygodnie niezliczone odkosze skrzyżowały się zawrotnie szybko z tyłomiami oświadczeniami.

Znikła. Z nią razem zniknął fakt, lecz pozostało pytanie.

Do pewnego stopnia rozjaśniła je następująca okoliczność: Ostatnia ofiara nieszczęśliwej miłości, Jack Caughran, bezskutecznie proponujący pięknej wdówce prawo do swego serca i 500 stóp złotych pokładów w Bananie, zdecydował utopić robaka w winie na jakiejś nocnej pijatyce. Aż tu nagle, któregoś z takich nocy, zetknął się oko w oko z Pierrem Fontaine, który był głównym przewodnikiem wyprawy Karen Sayther. Spotkanie te skończyło się wielką pijatyką i wzajemną szczerością, skorą do zwierzeń.

— „He?, bełkotał poufale Pierre Fontaine, pytacie dlaczego Mistriss Sayther złożyła wizytę tym okolicom? Lepiej byś się pan zapytał jej samej. Nie wiem nic po nad to, że wciąż pyta o jednego mężczyznę. Pierre, powiada do mnie, musisz mi znaleźć tego człowieka, dam ci dużo pieniędzy, dam ci tysiąc dolarów. Imię co? Ach oui, imię jest, że tak powiem Daveed Payne. Oui, monsieur, Daveed Payne. Wciąż tylko powtarza to imię. A ja rozglądam się i szukam i pracuję, jak sam djabeł, żeby znaleźć tego przekłętogo chłopca i moje tysiąc dolarów. Do licha! „He? Ach, oui, przyjeźdźni z Circle City mówili mi, że go znają. Podobno jest teraz w Birch Creek. A madame? Madame powiada „bon“ i cieszy się, jak nie wiem co. Potem powiada do mnie: „Pierre“, zaprzęgaj psy, jedźmy prędko! Jeśli znajdziemy tego człowieka dostaniesz drugie tysiąc dolarów“.

A ja wołam: oui, prędko, jedziemy madame!

Jestem pewien, że 2 tysiące dolarów — moje. Mądry chłopak! Bo dużo ludzi przyjeżdża z Circle City i powiadają, że Daveed Payne był w Dawson i pojechał dalej. Więc madame i ja pojedziemy również dalej.

„Monsieur, któregoś dnia powiada madame: Pierre, idź-no kupić łódkę“. I daje mi 500 dolarów. „Jutro wyruszamy w górę rzeki“. Ach, oui, jutro! I ten szelma Charley z Sitki wziął odemnie za łódkę 500 dolarów. Do licha!“

Jack Caughran nie omieszkął pochwalić się tą rozmową i całe Dawson gubiło się w domysłach, co jest Daveed Payne i co wiąże go z Karen Sayther?

Ale oczywiście w dniu wspomnianym przez Pierra, Mistriss Sayther ze swą czeredą „voyageurów“ odbiła od wschodniego brzegu Klondike City i udała się w górę rzeki. Przecieli Yukon zrzęcznie, żeby ominąć porohy i zniknęli między niezliczonymi wyspami południowej strony.

II.

— „Oui, madame, dojechaliśmy właśnie. Pierwsza, druga, trzecia, tak, tak, trzecia wyspa powyżej Stuart River. To tutaj“.

To mówiąc Pierre Fontaine skierował łódkę przeciw prądowi. Łódka oparła się w małej zatoce, Pierre zrzęcznie skoczył na ląd i przymocował ją u brzegu.

— „Chwileczkę, madame, pójdę zobaczyć“.

Zmieszany chór psich głosów dał się słyszeć natychmiast, jak tylko Pierre znikł z oczu. Po chwili wrócił z wiadomościami.

— „Oui, madame, jest chata. Zajrzałem przez okno. Nikogo niema. Ale człowiek który tam mieszka odszedł niedaleko i nie na długo, bo zostawił psy w domu. Wróci prędko, o zakład!“

— Pomóż mi wysiąść, Pierre, łódka zmęczyła mnie porządnie: mógłbyś coprawda urządzić ją trochę wygodniej.

Z puszystego futra, usłanego na dnie łódki, Karen Sayther podniosła się w całym smukłym przepychu. Lecz chociaż podobną była do wiotkiej lilji, zaprzeczył temu mocny ruch z jakim wsparła się na ramieniu Pierra, napięcie krzepkich, a kobiecych mięśni, wspaniałe wysiłki lekkich nóg, który uniósł ją w swobodnym skoku na wysoki brzeg.

Ciało jej zarysowane delikatną linią, kryło jednak cudowną, przedziwną siłę młodości.

Pomimo całej pozornej beztróski, z jaką wysiadła na ląd, rumieniec na jej twarzy ciepłym był niż zwykle i serce było niespokojnie a mocno. Jak-gdyby z pewną trwożną ciekawością zbliżyła się do chaty, a barwa lic stała się aż gorącą z widocznej radości.

— „Proszę spojrzeć, madame“. Pierre wskazał na porzucone trzaski rąbanego drzewa, zupełnie świeże, najwyżej dwa, trzy dni tu leżą“.

Mistriss Sayther twierdząco skinęła głową. Chciała zajrzeć przez małe okienko do izby, ale skrywał ją napojony tłuszczem pergamin, zastępujący szybę. Wtedy podeszła do drzwi i zlekka podniosła zasuwę. Ale po chwili zmieniła widocznie zamiar i zasuwa padła z powrotem na miejsce. Potem kobieta uklękła nagle i ucałowała świeżo ciosany próg.

Gdyby Pierre Fontaine zauważył ten ruch, nie dałby tego nigdy poznać po sobie i spostrzeżeniem tem nie podzieliłby się z nikim. Za chwilę jeden

z wiosłarzy zaskoczony został niespodziewaną surowością jego głosu.

— „Hej, Wy! Le Goire! Urządzić tu miękkie posłanie! Więcej futer! Więcej kolder! Dalej!”

Gniazdko w łódce było już zburzone i większa część futer przeniesiona na brzeg, gdzie Mistriss Sayther spoczęła wygodnie. Leżąc na boku, patrzyła przed siebie na szeroko rozlane wody Yukonu — i czekała.

Ponad wzgórzami dalekiego brzegu niebo zasnuwane było dymem niewidzialnych pożarów leśnych, a poprzez szarość przerywały się słabe promienie wieczornego słońca, wyciągającego po ziemi czerwonańską poświatę i mgliste cienie.

Aż do horyzontu — puszyste od sosen wyspy, ciemne wody, szczeliny skalne, ścięte wiecznym lodem — bujna, nienaruszona dzikość. Żaden ślad ludzkiego życia nie mącił samotności, żaden dźwięk — ciszy. Kraj zdawał się pogrążonym w niebycie, zasnuty mgłą nieprzejrzaną, wiecznej tajemnicy bezgranicznych przestrzeni.

Może to właśnie podnieciło Mistriss Sayther, siedziała bowiem bardzo niespokojnie, spoglądając wciąż w góry lub w dół Yukonu, obserwując ciemniejące brzegi, lub zasłonięte koryta rzeki. Po upływie godziny, posłano wiosłarzy w głąb ładu dla przygotowania nocnego obozowiska. Pierre jednak pozostał ze swą panią.

— „Ot, tam jedzie” — szepnął nagle po długim milczeniu, przechyliwszy się ponad wodę w stronę wysp.

Łódź, z wiosłami migającymi z obu stron, sunęła gładko w kierunku prądu. U steru męska, u dziobu kobieca postać, chyliły się rytmicznie nad wiosłami. Mrs. Sayther nie zauważyła kobiety dopóki łódka nie podeszła zupełnie blisko i wtedy dopiero uwagę jej pochłonięta dziwna, a niezwykła piękność nieznamojem. Pod obcisłą, fantastycznie wyciętą kurtką z jeleniej skóry, rysowały się wyraźnie cudnie toczone kształty jej postaci, jaskrawa chusta, malowniczo zarzucona na głowę, osłaniała zlekka wielką masę błękitno-czarnych włosów. Ale dopiero twarz, cudownie rżnięta w złotawym brzoście, przykuła rozdragne spojrzenie Mistriss Sayther.

Oczy przeszywające, czarne, wielkie, nieuchwytnie skośne, jak chce rasa — paliły się w cieniu mocnych, prostolukich brwi. Ściągłe policzki o drobnych, choć zlekka wydatnych kościach, spotykały nieznacznie młodzieńcze usta, o wąskich wargach, pełnych słodkiej siły. Była to twarz starożytnej, mongolskiej rasy, która jak gdyby po długich wędrówkach przez szereg pokoleń powróciła w całej swej czystości. Wrażenie podnosił rzeźbiony nos, o cienkich, drżących nozdrzach i charakterystycznym wyrazie orlej dzikości. Wyrazem tym oddychała nie tylko twarz, ale cała istota dziewczyny. Była to właściwie tatarski typ, udoskonalony aż do ideału i plemię Czerwonoskórych Indian może być dumne, jeśli raz jeden w łańcuchu pokoleń rodzi tak jedyne kształty. Wiosłowała długimi pociągnięciami, zupełnie zgodnie z mężczyzną, potem zaś pomogła skierować łódź przeciwko prądowi i lekko przybić do brzegu. Jeszcze chwila, i była już na lądzie, za pomocą sznura wyciągając z łódki ćwierć świeżo ubitego jelenia. Mężczyzna pośpieszył za nią i szybkim ruchem wepchnął łódkę na brzeg. Psy otoczyły ich gwarnem, drgającym kołem, a podczas gdy dziewcz-

czyną skierowała się ku chacie, idąc przyjaźnie pośród zwierząt — wzrok mężczyzny padł na Mistriss Sayther, stojącą opodal.

Spojrzał — przetarł oczy niedowierzająco, jakby go wzrok mylił — znowu patrzył.

— „Karen” — odezwał się prosto, podchodząc z wyciągniętą dłonią.

— „Myślałem przez chwilę, że śnię. Tej wiosny nakrótko oślepił mię śnieg i sądziłem, że oczy splątały mi figła”.

Rumieniec Mistriss Sayther pociemniał, a serce ścisnęło się boleśnie. Przygotowana była na wszystko — tylko nie na to gręczne, a proste wyciągnięcie dłoni; opanowała się jednak i serdecznie uściśnęła jego rękę.

— „Obiecywałam często, że przyjadę tu, Dave, i byłabym wcześniej wykonała tę groźbę — ale —”

— „Ale... nie dałam znać ani słówkiem” — zaśmiał się Dawid Payne, spojrzawszy w stronę Indjanki, wchodzącej do chaty.

— „O! rozumiem wszystko, Dave, ja na twojem miejscu postąpiłabym tak samo. Ale teraz — przysłałam”.

— „Chodź więc jeszcze trochę dalej, aż do chaty, odpocznij i posil się”, odpowiedział zreźnie, nie słysząc, lub nie chcąc słyszeć akcentu jej głosu. „Musisz być bardzo zmęczona? Z której strony wypłynęliście? Z dołu? Zimowałaś chyba w Dawson, lub przyjechałaś tam z ostatnią wodą? To twój ludzie?”

Obrzucił wzrokiem jej „voyageurs” i szeroko roztworzył przed nią drzwi chaty.

— „Zeszłej zimy jechałem tędy na psach z Circle-City, ciągnął dalej, i zatrzymałem się tutaj chwilowo z powodu rozmaitych trudności, wynikłych z podróży. Myślę tymczasem zająć się poszukiwaniem złota w Henderson-Creek, a jeśli mi się nie powiedzie, to pójdę w górę po Stuart River”.

— „Zmienileś się chyba niebardzo — prawda? zapytała nagle, starając się sprowadzić rozmowę na tory bardziej osobiste.

— „Trochę więcej mięśni i trochę mniej mięsa — tak? Wszak o tem myślałaś?”

Wzruszyła ramionami w milczeniu i popatrzyła na indyjską dziewczynę, w półmroku izby warzącą wielkie kawały jeleniego mięsa, szpikowane słoniną.

— „Długo zatrzymałaś się w Dawson?” Mężczyzna obciosywał siekierką jakiś pień i zadał pytanie nie podnosząc głowy.

— „O, kilka dni zaledwie”, odpowiedziała, obserwując wciąż dziewczynę i prawie nie słysząc jego słów. „Co mówiłaś? Aha, w Dawson? Miesiąc właściwie i rada jestem, że nie dłużej. Mieszkańcy północy są zbyt pierwotni, jak wiesz, i zamalo opanowani w swych uczuciach”.

— „Cóż, oni również mają swoją rację. Porzucili konwensanse wraz z cywilizacją. Ale wiesz, doskonale wybrałaś czas do podróży; zdążysz uprzedzić jeszcze sezon moskitów i do szeregu doświadczeń nie przybędzie ci to nowe niezbyt miłe”.

— „Być może. Ale może opowiesz mi coś o sobie, o swoim życiu? Jakich masz tu sąsiadów w okolicy?” To mówiąc patrzyła na dziewczynę, która, klękawszy na ziemi rozcierała dwoma kamieniami ziarenka suszonej kawy. Upór i siła z jaką spełniała tę czynność, świadczyły o nerwach równie pierwotnych, jak sama owa praca.

Daveed Payne zauważył zdziwione spojrzenie Karen i cień uśmiechu przemknął po jego wargach.

— „Było tu trochę ludzi, odrzekł, przybyszów z Missourí i z Corn-Vells, ale odjechali już w dół rzeki, do Eldorado na robotę“.

Mrs. Sayther rzuciła na dziewczynę badawcze spojrzenie:

— „Zapewne jednak mieszka tu dużo Indian w okolicy?“

— „Wszyscy oni mieszkają oddawna poniżej Dawson.

Ani jednego krajowca w całej okolicy. Prócz mojej Winapie, która zresztą pochodzi z Koya-Kuk, leżącego o tysiąc mil w dół rzeki“.

Nieoczekiwana słabość owinęła ciało Karen. I chociaż uśmiech zainteresowania nie schodził z jej warg, twarz mężczyzny wydała jej się nagle daleka, jakby widziana przez teleskop, a drewniane belki chaty zakolowały się, jak pijane. Oparła się o stół i dopiero po chwili odzyskała świadomość czasu i przestrzeni. Mówiła już niewiele, głównie o pogodzie i okolicy, podczas, gdy mężczyzna wdał się w szczegółowy opis różnic technicznych, jakie zachodzą pomiędzy płytkiem letniem kopaniem w Lower Country a głębokiem zimowem w Upper Country.

— „Nie pytasz nawet dlaczego i pocią przyjechałam na Północ?“ zapytała nagle.

Wstali od stołu i Daveed Payne znów zabrał się do siekiery.

— „Czy list mój doszedł?“

— „Ostatni? Nie, nie przypuszczam. Najprawdopodobniej wędruje jeszcze dokoła Birch Creek albo leży sobie gdzieś w Lower Riwer. Tutejsza poczta, to istny skandal; ani porządku, ani systemu, ani...“

— „Nie bądźże, jak z drzewa Dave! Pomóż mi!“ Zawołała to ostro i jakby z odzieniem rozkazu, co pozostało jej z dawnych czasów.

— „Nie zapytasz nic o mnie? O tych, których znaleźliśmy kiedyś? Czyż świat nie obchodzi cię już wcale? Mąż mój umarł...“

— „Czyż być może? Jaka szkoda! Dawno?...“

— „Dawid! „Gotowa była płakać z gniewu.

— „Czy otrzymałaś choć kilka listów? Jestem pewna, że doszły, choć nie odpisywałaś nigdy“.

— „Owszem, kilka dostałem, widocznie prócz ostatniego, w którym donosiłaś o śmierci twego męża. Muszę się przyznać, że prawie wszystkie przeczytałem głośno Winapie. Dla nauki, że tak powiem. Niech wie, jakie są jej białe siostry. I przypuszczam, że coś niecoś skorzystała na tem. Jak myślisz?“

Nie zwracając uwagi na jego szorstkość, ciągnęła dalej.

— „A więc w ostatnim liście, którego nie dostałaś, pisałam o śmierci męża mego, pułkownika Sayther... Było to rok temu. Pisałam również, że jeśli nie przyjedziesz do mnie na Południe, to ja przyjadę tu do ciebie. I stosownie do obietnicy — jestem“.

— „Nie wiem o żadnych obietnicach“.

— „W dawnych listach?...“

— „Tak, przyrzekałaś rzeczywiście. Ponieważ jednak ja o nic nie prosiłem i nie odpisywałem wcale, było to więc nie potwierdzone i, co za tem idzie, mało prawdopodobne.

Pamiętam jednak obietnice inne, o których zapewne nie zapomniałaś również. Było to dawno — odrzucił nagle siekiere i podniósł na nią oczy — było

to bardzo dawno, ale pamiętam żywo dzień, godzinę, każdy szczegół. Byliśmy w różanym ogrodzie — Ty i ja, w różanym ogrodzie twojej matki. Wszystko budziło się do życia, kwitło, śpiewało i słodczy wiosny była w naszej krwi. Objąłem cię wpół, poraz pierwszy i pocałowałem w usta. Pamiętasz?

— „Dość o tem, Dave, dość. Pamiętam wszystko. Jakże często płakałam, jak bardzo cierpiałam potem“.

— „Przyrzekałaś mi wtedy, ach i tysiąc jeszcze razy w słodkie dni tamtej wiosny. Każde spojrzenie, każde dotknięcie ręki, każde słowo, co padło z warg twoich — było obietnicą. A potem — jakże mam powiedzieć — przyszedł obcy mężczyzna. Był stary, dość stary, aby mógł być twoim ojcem. Nie piękny, ale jak świat powiada, wielce szanowny. Nie czynił nic złego, żył zgodnie z literą prawa, był ogólnie poważany. Pozatem — w tem sęk właśnie — posiadał kilka dość lichych kopalń, niejedną milę ziemi, prowadził wielkie interesa, obcinał kupony. On to...“

— „Były tam inne powody przerwa, opowiem ci. Namowy, żądania rodziny, sprawy pieniężne matki, jej niepokój. Zrozum moje straszne położenie. Nie mogłam nic poradzić. Poświęcono mnie, albo albo nie, raczej ja sama poświęciłam siebie w ofierze. Myśl zresztą, jak chcesz. Ależ, mój Boże, Dave, odeszłam, to prawda, ale czy pamiętałeś kiedy ile mnie to kosztowało. Nigdy nie oddałeś sprawiedliwości mnie!“

— „Pomimo woli? Z musu? O, nie, niema nic na świecie, coby mogło zmusić do pójścia w objęcia obcego mężczyzny!“

— „Żyłam tylko tobą...“ szepnęła usprawiedliwiająco.

— „Nie potrafiłem nigdy zastosować twoich pojęć o miłości. I nie potrafię dotąd. Nic nie rozumiem...“

— „Ależ teraz, teraz!“

— „Teraz? Teraz pomówimy o tym, któregoś uznałaś godnym swej ręki: Cóż to był za człowiek? Co cię w nim pociągało? Jakież to zalety powiadał? Prawda, miał on talizman, wszechmogący, złoty talizman. Miał „szczęście“. Zarabiał sto na sto. Umiał w przedziwny sposób przelewać cudze pieniądze do swojej kieszeni. Jednego, drugiego, trzeciego czelaka. A prawo patrzyło z uśmiechem. Jego chrześcijańska etyka przyzwalała milcząco. Społeczeństwo darzyło szacunkiem. Ale jakże, według ciebie, Karen, według mnie, według nas, tamtych, z różanego ogrodu — kim on był?

— „Pamiętaj, że już umarł“.

— „To nie zmienia postaci rzeczy. Kim on był? pytam.

Wielkiem, grubem cielskiem, głuchem na dźwięk, ślepem na piękno, nieżywym dla ducha, opasłem z lenistwa, z obwisłymi policzkami i ogromnym brzuchem, na świadectwo obżartości“.

— „Ale już umarł. My zaś jesteśmy teraz — teraz — teraz dzisiaj! Słyszysz? Jak powiadasz byłam niewierna, złamałam słowo. Tak. Ale czyż ty również nie powinienesz zawołać: „zgrzeszyłem!“ Jeśli ja nie dotrzymałam obietnicy — czyś ty jej dochował? Twoja miłość z różanego ogrodu żyła zawsze — opowiadasz? Gdzieś jest ona dzisiaj?“

— „Dzisiaj? Tutaj!“ Przerwał gwałtownie, uderzając pięścią po szerokiej piersi.

— „Była tu zawsze“.

— „I miłość twoja była wielka — mówiła dalej — słyszałem to w różanym ogrodzie. A teraz

Jest niedość piękna, niedość mocna, żeby przebaczyć mnie, płaczącej dziś u twoich nóg...”

Mężczyzna zadrżał. Chwiejnie rozwarły się wargi pełne rwących się słów. Zmusiła go, żeby otworzył serce, żeby mówił szczerze o tem, co krył przed samym sobą. I jakże dobrze było patrzeć na nią, stojącą w płomieniach miłości, co budziła dawno pogrzebane, gorące życie. Odwrócił głowę, żeby skryć tajemnicę, ale ona zaszła go z boku i zajrzała w oczy.

— „Spojrz na mnie, Dave! Spojrz na mnie! Jestem tu sama, wciąż ta sama. I ty również, gdybyś tylko chciał... Nie zmieniliśmy się wcale”

Jej ręka leżała na jego ramieniu, on zaś stał w mgłą w oczach, sztynny i niewidzący. Nagle ostry trzask zapalnika przywołał go do przytomności.

Winapie, niemy świadek tego, co się działo, zapalała właśnie leniwy knot olejnej lampki. Postać jej zarysowała się wypukle na czarnem tle izby, a płomień rozpalił brązową jej krasę w iście królewskie złoto.

— „Widzisz sama — niepodobieństwo...” Jęknął, odsuwając zlekka jasnowłosą kobietę. „To jest niemożliwe, powtórzyl, tak, to niemożliwe...”

— „Dave nie jestem dziewczynką i nie mam złudzeń, przemówiła łagodnie, choć nie śmiała już podejść blisko. „Czuję, jak kobieta dojrzała. Mężczyźni są zawsze mężczyznami. Zresztą... zwyczaj krajowy. Nie jestem bynajmniej żdziwioną; spodziewałam się tego. Ależ... jest to przecież tylko takie tujejsze, krajowe małżeństwo, nie rzeczywiste?”

— „Takie pytania nie istnieją na Alasce, przeciwstawiał się słabo.

— „Wiem, ale...”

— „Więc dobrze, jest to tylko małżeństwo, jak powiadasz, tutejsze. Nic więcej”.

— „Dzieci niema?”

— „Nie”.

— „I nie”.

— „Nie, nie; nic już — ale to niemożliwe”.

— „Nieprawda. „Znowu podeszła blisko, lekko, pieszczotliwie dotykając dłonią jego, spalonego słońcem karku. „Zbyt dobrze znam zwyczaje tego kraju. Mężczyźni postępują tak codziennie. Nie mają przecież zamiaru zostawać tu na całe życie, ani zamykać sobie świata. Dają więc kupon na Pacific Company, zostawiają zapas żywności na cały rok i dziewczyna jest zupełnie zadowolona. Oto wszystko”.

Wzruszyła ramionami.

„Tak samo z tą dziewczyną. Damy jej kupon na Company, nietylko na rok, ale na całe życie.

Czemże była, kiedyś ją znalazł? Dziękuję, mięsożerem stworzeniem; ryba w lecie, jelen w zimie, w święto uczta, na codzień głód. Przyszedeś — stała się szczęśliwszą; odejdziesz, i niewątpliwie będzie jej lepiej, niż gdybyś nie przychodził wcale, bo zapewnisz jej względny komfort życia”.

— „Nie, nie, protestowałam. Tak nie jest...”

— „Chodź, Dave, powinieneś to zrozumieć. Ona nie jest twojej rasy. Jesteście sobie obcy. Ona jest tuziemką, wybujała z tej gleby, mocno do niej przyrosła i oderwać jej stąd niesposób. Urodzona w dzikości — dziko umrze.

Lecz my — Ty i ja — panująca, wysoka rasa, sól ziemi i przedstawiciele władców. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Najwyższym jest głos rasy, a on w nas woła. Rozum i serce potwierdza. Prawdziwy twój instykt chce tego. Nie możesz zaprzeczyć. Nie

możesz umknąć woli całych pokoleń. Za tobą przez stulecia, przez tysiąc stuleci, stoi ród i łańcuch, jego nie może się tu przerwać. To niepodobieństwo. Instykt silniejszy jest niż wola. Rasa mocniejsza od jednostki. Jesteśmy młodzi, a życie jest dobre. Chodź!

Winapie, wychodząca z chaty, żeby nakarmić psy, zwróciła znów jego uwagę. Pokiwał głową i słabo począł się cofać. Ale dłoń jasnowłosej gładziła jego szyję, a lica przywarły do twarzy. Minione życie wstało w nim nagle i poczęło dławić. Daremna walka z bezlitośnym żywiołem, ciężkie lata głodu i chłodu, twarde zdobycze, pierwotne istnienie, bolesna marność zwierzęcego życia. Nie mogło to wystarczyć. I oto — pokusa tuż przy nim. Poszept słonecznych krajów, pieśni, światła i radości, głos dawnych czasów, zew do powrotu. Nieświadomego pochłonęła wizja. Przymglone twarze zadrgały mu przed oczyma, urywki zbladłych już chwil, wspomnienia zmierzchłych godzin, smugi dźwięków, wysokie, srebrzyste dzwonki śmiechu...

— „Chodź, Dave, chodź!... Złota starczy na dwoje. Droga jest tak słodka”. Obejrzała się po ubogiej izbie. „Złota starczy. Świat jest u naszych stóp i radość całej ziemi jest dla nas. Chodź, chodź!”

Była w jego ramionach cała drżąca. Objął ją mocno, wstał.. Gdy nagle szczekanie głodnych psów i ostre okrzyki Winapie uderzyły słuch jego poprzez drewniane ściany.

Wtedy inny obraz wyrósł niespodzianie przed jego oczyma.

Walka w kniei — olbrzymi, bury, rozjuszony niedźwiedź; wycie psów i wojownicze okrzyki Winapie. On sam napół żywy, prawie bez oddechu, z sercem rozsadzającym pierś. O kilka kroków wiją się w kurczach przedśmiertnych psy z rozprutymi brzuchami, z poszarpanem cielskiem. Nieskalaną biel śniegu plami krew człowieka, mieszając się z krwią zwierząt. Niedźwiedź wściekły, niestrzymany, sięgający drapieżnie po jego życie, i Winapie... Winapie w gąmlem szaleństwie odwagi, z rozwianym włosiem, gorejącami oczyma, w furji walki bijąca w niedźwiedzia ogromnym myśliwskim nożem raz po raz, raz po raz.

Pot wystąpił na czoło Davida. Odepchnął przywartą kobietę i cofnął się krótko jeden ku ścianie. Ona widząc, że chwila nadeszła i stało się, a nie zgadzając, co mianowicie, poczuła jednak, że wymykać się poczyna z jej rąk.

— „Dave! Dave! zawołała. Nie chcę się tu zostawić! Nie chcę! Jeśli nie pójdziesz ze mną — razem zostaniemy tutaj. Będę twoją żoną. Będę gotowała ci żywność, karmiła psy, torowała drogę, prowadziła łódkę. Wszystko to potrafię. Ufaj mi. Jestem silna”.

Wiedział o tem dobrze, patrząc na nią i odpychając jej ramiona. Ale twarz jego stała się surowa i szara, a ciepłe światło zgasło w źrenicach.

— „Zapłacę zaraz Pierrowi i wioślarzom i niech sobie jadą. Ja zostanę. Ślubnie, czy nieślubnie, prawnie, czy nieprawnie. Być z tobą, dzisiaj, zawsze!.. Dave! Dave! Posłuchaj mnie!.. Mówiłeś, że postąpiłam źle dawniej. Zgadzam się. Pozwól, że mi teraz naprawić tamto, okupić. Jeżeli dawniej źle sądziłam miłość, pozwól mi okazać, jaka jestem dzisiaj”.

Osunęła się na podłogę i ramionami oplotła jego kolana, łkając...

— „Ty musisz mnie odczuć. Pomyśl tylko: takie długie lata, lata czekania, męki! Nie wiesz nawet...”

Pochylił się, by ją podnieść.

— „Posłuchaj, rozkazał, otwierając drzwi i wprowadzając ją delikatnie z chaty. Nie może to być. Nietylko nas to dotyczy. Powinnaś odjechać. Życzę ci bezpiecznej podróży. Ciężka przeprawa czeka was na Sixty Nile, ale masz najlepszych w świecie wiosłarzy, nic ci więc nie grozi. Nie pożegnasz się ze mną?”

Choć zdążyła się już opanować — ale raz jeszcze beznadziejnie spojrzała w jego oczy.

— „Gdyby — gdyby — gdyby jednak Winapie“ — urwała i stanęła.

Ale on schwytał już niedomówioną myśl. „Tak” odrzekł. Potem przerażony dodał. Niema żadnego prawdopodobieństwa. Nie powinno być nawet pomyślane“.

— „Pocałuj“, szepnęła, rozświetlając twarz. Po czem odwróciła się i odeszła.

— „Zwijaj obóz, Pierre!” zawołała na wiosłarza, który sam jeden czuwał, czekając jej powrotu. Jedziemy natychmiast“.

Byстрыm okiem dojrzał przy świetle ogniska skurcz bólu na jej twarzy, ale przyjął rozkaz tak, jakby to było rzeczą najzwyczajszą pod słońcem.

— „Oui, madame” zgodził się poprostu. „Dokąd? Dawson?”

— „Nie odrzekła. W górę, prosto, Dyea“.

Wtedy Pierre rzucił się na śpiących „voyageurs”, dogadując, spychał ich z posłania, a jego żywy, jak pobudka, głos brzmiał po całym obozie. W mgnieniu oka zwinięto maleńki namiot, pozbierano naczynia kuchenne, powiązano pościel i ludzie, uginając się pod tłumokami, ponieśli je do łódki.

Mistriss Sayther czekała na brzegu zanim załadują bagaże i uścielą jej siedzenie.

— „Pojedziemy do czołowej części wyspy“, tłumaczył Pierre, zwijając linę. „Prześliźniemy się przez zatokę, gdzie prąd najslabszy. Tak będzie najlepiej“.

Szelest kroków po suchej, zeszlórocznej trawie musnął nagle wyostrzony słuch Pierra. Indyjska dziewczyna, otoczona niespokojnym kołem psów — wilkodławów, zbliżała się ku nim. Mrs Sayther zauważyła odrazu, że twarz dziewczyny, niezmiennie obojętna podczas rozmowy w chacie, pałała teraz żywym ogniem, ogniem gniewu — może zemsty.

— „Co zrobiłaś mojemu mężczyźnie? rzuciła ostro. On leży na ławie i źle patrzy wokoło. Ja mówię: co takiego, Dave, tyś chory? Ale on nie odpowiada. A potem mówi: „Winapie, dobra dziewczyno — odejź!“ Tak nigdy nie bywało. Coś zrobiła memu mężczyźnie? Ja myślę, że ty jesteś zła kobieta.“

Karen patrzyła ciekawie na dziką kobietę dzielącą życie tego człowieka, podczas, gdy ona odjeżdżała samotnie w głęboką ciemność nocy.

— „Ja myślę, że jesteś zła kobieta, powtórzyła Winapie powoli i starannie, jak się wymawia dziwne słowa obcego języka. „Ja myślę --- ty lepiej odjeżdżaj i nie wracaj więcej. He? a ty, jak myślisz? Ja mam jednego mężczyznę. Ja jestem Indjanka. Ty amerykańska kobieta. I taka piękna. Ty znajdziesz dużo mężczyzn. Oczywiście, jak niebo, a skórę białą, taką miękką...“

Nagle podniosła smukły brązowy palec i dotknęła lekko gładkich policzków białej kobiety. Karen Sayther nie cofnęła się i nawet nie drgnęła. Pierre zawahał się i postąpił krok naprzód. Ale go zatrzymała, chociaż w głębi serca była mu wdzięczna.

— „Wszystko już dobrze, Pierre, rzekła, Proszę cię, odejść“.

Cofnął się z uszanowaniem na odległość głosu, potem zaś przystanął, pomrukując zcicha i mierząc w myśli odległość na skoki.

— „Taka biała, taka gładka, jak dziecko...“

Winapie dotknęła drugiego policzka i cofnęła rękę.

„Wkrótce przyjdą moskity. Skóra będzie cała w plamach. Takie spuchnięte, takie wielkie, dużo, dużo ran. Mnóstwo moskitów, mnóstwo plam. Ja myślę — ty jedź lepiej, zanim przyjdą moskity. Ta droga — wskazała z biegiem rzeki — do St. Michael; tamta druga — wskazała przeciw prądowi — do Dycy. Lepiej jedź do Dycy. Bądź zdrowa“.

Ależ to, co uczyniła teraz Mrs Sayther zdziwiło Pierr'a niemiło. Zarzuciła bowiem ramiona na szyję indyjskiej dziewczyny, ucałowała ją i wybuchnęła płaczem

— „Bądź dobra dla niego — mówiła przez łzy — bądź dobrą...“

Potem zeszła na brzeg z pochyloną głową, rzuciła obejrzawszy się „bądź zdrowa“ i skoczyła do łódki. Pierre za nią. Potem odepchnął się, postawił ster na miejsce i dał sygnał.

La Gloire wzniosł jakąś starą francuską piosenkę.

Ludzie, jak widma w mglistym świetle gwiazd, schylił się nisko pod napiętą linę. Wiosła przecięły ostro czarny prąd i łódka spłynęła cicho w głęboką noc.

REWOLUCJA.

Szczerości wielkiej nadszedł czas.
Krzyk duszy, co zakrzyknie w nas,
Prawdą jest!

Więc w piersi bij się wielkoludzie,
Rzuć precz wiekowy nalot cały:
Dziś chwila kiedy w prostym cudzie
Uzna się człowiek mały!

Bije godzina
Ważna, jedyna...

Ta groźna fala, co się piętrzy sina
I pod brukami miasta drży,
Jeśli nie chwycim się jej my,
Przejdzie mimol!

Ramiona pręż! Romantyczności zrzucaj szatę!
Uderza młot w fabryczny dzwon,
Surowe, mocne dźwięki skrzydlate
Lecą w miasto. Rodzą nowy ton!

Słyszal! Na placu wielki tłum,
Niosą kamienie, belki, cegły w garści:
Będą budować nowy tum
Żelaznej, młodej ludzkości!

Moc rzetelna, prosta
Bija w rytmie ich płuc;
Ciosają głazy sprosta;
Wichry będą je tłuci!

Założyli fundament,
Wysokie, tęgie ściany.
Na szczycie słoneczny ornament,
Robotnik z młotem miedziany!

Skończony! Ozwały się organy:
Zgrzyt śrub, świst kół, żelazna muzyka...

Hymn ludu na kotłach grany:
To kościół Twój — fabrykal

Konrad Garski.



L. Gottlieb.

Saper



L. Gottlieb.

Piłsudczyk.



KAROL MASZKOWSKI.



PORTRETY LEGJONISTÓW.



K. MASZKOWSKI.



ŻOŁNIERZE.



K. MASZKOWSKI. PORTRET.



J. Rembowski. Portret C. Jarnuszkiewicza.



J. Rembowski. Piłsudczyk.

SZTUKA LEGJONOWA.



traszne było położenie Polski w polowie roku 1914: na ziemiach zaboru rosyjskiego ogromna armja rosyjska, na ziemiach zachodnich i południowych Polski, dwie potężne armje, niemiecka i austriacka. Te miliony, ludzi uzbrojonych w najdoskonalszy oręż nowoczesny, miały zmagać się na naszych ziemiach. W każdej z tych armji,

co było zgrozą i rozpaczą najstraszliwszą, stało setki tysięcy uzbrojonych polskich obywateli, powołanych w szeregi niemieckie, austriackie i rosyjskie przez przemoc zaborczych rządów. Dzieci jednej ziemi, na tej ziemi rozłogach miały walczyć ze sobą wzajemnie, nie w imię własnych celów i ideałów, lecz w imię celów i ideałów ludów wrogich nam, gnębiących nas i wyzyskujących od wieków.

W tej straszliwej, brzemiennej groźbie chwili, gdy wyładować się miała energia militarna państw, gromadzona przez kilkadziesiąt lat, byliśmy zupełnie bezwładni, bezbronni, zdani na rabunek i okrucieństwo zwycięzców, idących naprzód, zdani na rabunek i okrucieństwo cofających się zwyciężonych armji.

Lecz w tę ponurą, czarną chwilę klęski i straszliwego upokorzenia narodu wpada jasny, potężny duchowo, choć tak słaby fizycznie, promień życiodajnego, ożywczego światła. Tym promieniem, tym światłem życiodajnym, było wystąpienie Józefa Piłsudskiego z grupką maleńką oddanych Polsce, oddanych sobie żołnierzy w imię święte niepodległości Polski. Z tą chwilą gdy stanęli zbrojni polscy, słuchający rozkazu wodza, do walki z wrogiem, Polska czynna, Polska wolna, Polska dumna i niepokonana, miała swą reprezentację istotną, miała swą moc, miała swój majestat. Wokół tego człowieka, co wówczas, w chwili, zdawało się, beznadziejnej, poszedł walczyć o Polskę, grupowało się coraz więcej

ludzi, olśnionych dokonywanym w ich oczach czynem wskrzeszania polskiej siły zbrojnej, aż stanął przy nim cały naród i godność swą najwyższą Mu powierzył.

Dzieje te, powstania i rozwoju na władne zawołanie Piłsudskiego polskiej siły zbrojnej, mają swoich poetów i piosenkarzy, mają swych historyków i pamiętnikarzy. W sztuce plastycznej też żywo i obficie odbiły się te szczytne, bohaterskie sprawy. Tyśiące portretów, szkiców, zarówno jak dzieł głębiej opracowanych i skończonych, stworzyli artyści w związku z Legionami Piłsudskiego. Wielu z legionistów to byli malarze, wielu malarzy jeździło z pułkami legionowymi i tam na punktach zbornych, na etapach chwytały swe szkice, robili owe, często wspólnie notatki i portrety. Wszyscy czy ci, co byli na froncie, czy ci, co malowali i rysowali w spokojnych pozafrontowych miastach, żyli ideą niepodległości i dla niej pracowali.

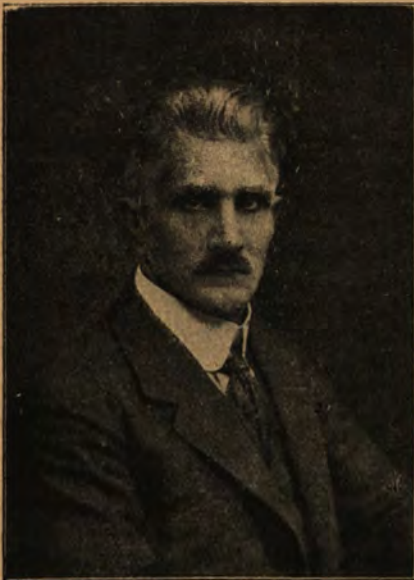
Artystą, który jeden z pierwszych pospieszył w szeregi, od pierwszej chwili dając Legionom swój talent i wiedzę artystyczną, był Leopold Gottlieb. Przez lata całe idzie on z Legionami wszędzie i tworzy kolekcje rysunków, które prócz doniosłego znaczenia dokumentów chwili dziejowej, mają duże znaczenie artystyczne.

Są to przeważnie rysunki linją, pełną miękkości i bardzo melodyjną. Rysunki Gottlieba mają wiele charakteru i wyrazu i dają nam żołnierza takim, jakim on był w polu i na postoju, w trudzie bojowym i odpoczynku.

Dużą też działalność artystyczną rozwinął artysta Karol Maszkowski kilka jego prac, pełnych życia i werwy, tu dzisiaj wraz z rysunkami Gottlieba re-produkujemy.

Artystów, którzy żyli i tworzyli zespół z Legionami, istnieje w Polsce Legion cały. Gdy czasy się uspokoją, trzeba będzie wydać obszerną monografię sztuki legionowej. W monografii tej znajdą się dzieła większości ogromnej polskich artystów.

J. R.



1. Daszyński, wiceprezydent ministrów.

WITOS — DASZYŃSKI.

W chwili ciężkiej szuka się silnego oparcia. Jeśli oparcia się tego nie znajdzie, upadek jest pewny. I oto w życiu Polski, gdy zawisła nad nią groźba ruiny, wszystkich oczy zwróciły się na przedstawicieli robotników i chłopów. To bowiem treść narodu i jego siła.

Ten robotnik i chłop, którego prześladowało nieraz państwo polskie, przeciw któremu tenże sejm przyjmował represyjne uchwały, musiał na barkach swoich wynieść Polskę z nad przepaści, gdzie ją o mało nie wpełnęła polityka burżuazji.

Witos — przedstawiciel chłopów, Daszyński — wódz robotników, wzięli na się ciężkie zadanie obrony kraju i doprowadzenia go do pokoju.



W. Witos, prezydent ministrów.

Pierwsze w lwiej części już spełnione. Drugie zadanie już rozpoczęto realizować.

Minęła groza. I oto burżuazja przypomniała sobie, że Witos, chłop bez krawata chodzący i w długich butach, nie godzien piastować jednej z największych ról w Polsce, że Daszyński — to czerwony djabeł, rewolucjonista i t. d., że Piłsudski to dawny bojowiec, demokrat, i oto jesteśmy świadkami namiętnej agitacji, posługującej się najbardziej nikczemnymi środkami plotek i oszczerstw, przeciw tym ludziom.

Krótką jest pamięć burżuazji — wielkie są apetyty jej na władzę w Polsce. Rozegra się walka, a z walki tej lud pracujący musi wyjść zwycięzca i wprowadzić w Polsce Rząd Robotniczo-Włościański.

Robotnik i chłop uratowali Polskę w dniu klęski — teraz muszą utrzymać jej byt, dając ludowi Ojczyznę-Matkę.

POETA KATORGI.

(Pamięci tow. J. Kostrzemskiego).

Walka z caratem pochłaniała wiele ofiar. Setkami pakowano ludzi za kraty, setkami zakuwano w kajdany i wywożono w tajgi syberyjskie. Duch jednak bojowników o lepsze jutro zawsze pozostawał wolny. Wielu katorżników w największym, nawet nieszczęściu czy strapieniu jasno patrzyło na życie i czuło się wolniejszymi od milionów obywateli, ze spokojem poświęcających swe życie na jedzenie i spanie. Wyjątki tylko więzienia łamały, aczkolwiek wszyscy przeżywali ciężkie nastroje.



Do najbujniejszych zapewne nastrojowców należał ogólnie kochany i szanowany towarzysz „Juljan”, Wacław Kostrzemiński, odsiadający 10 lat ciężkich robót z wyspy Sukiennika. Los swój znosił on ze spokojem. Może dlatego, że zawsze myślałmi był zdala od krat, na kwietnych kobiercach naszych łąk zielonych, na miedzach

pól, między kołyszącym się zbożem. Człowiek ten kochał słońce, kochał wszystko, co żyje, choćby to była najdrobniejsza trawka, kochał szerokie przestworza, a nadewszystko wolność, dla której życie swoje poświęcił. Pomimo tego nie uskarżał się nigdy. Czasem tylko tęsknotę wyrażał w wierszach, których sporo napisał. Niewiadomo, co się z jego utworami stało, kiedy w Orłowskim więzieniu katorżniczym śmierć go wydarła z naszych szeregów. Jak wiele uczucia jest w tych jego wierszach, które przypadkiem znajdują się w naszym posiadaniu, niechaj czytelnicy sami osądzą. Wystarczy ich kilka, ażeby można było wyobrazić sobie piękną postać przedwcześnie zmarłego poety.

Oto jedna z wizji, jaką miał o zmroku w cichy wiosenny dzień:

Ostatni promień słońca ginie,
Wyniosłych drzew żegnając szczyty —
W mgły spowijają się błękity,
Naokół cisza senna płynie.
Nad szmaragdowe wód zwierciadła,
Wpółsennie tuląc nenufary,
Błękitne wznoszą się opary
I suną ciche, jak widziadła.

O zmroku płyną tęsknot tłumy...
Ni to wysnłone dawne dzieje,
Ni przemarzone sny i dumy.

Lubo — przebrzmiało już nadzleje...
Tak płyną tęsknot mgliste tłumy,
Gdy fala mroków świat zaleje!

Kiedy zmarła ulubiona jego poetka, Marja Konopnicka, napisał pod wpływem pierwszego wrażenia „Na śmierć Marji Konopnickiej”:

Smutnie lkają dzwony...
Do cmentarnych wrót,
W bólu pogrążony
Kroczy polski lud.

Lkają, jęczą dzwony,
Serca oblókł kłir —
Umilkłaś na wieki,
Najdźwięczniejsza z lir.

Prędy twej zlocistej
Zerwała się nić,
Odszedł duch promienny
Gdzieś w zaświaty śnić.

Glusza dookoła...
Wśród ojczystych pól,
Któż po tobie zdola,
Koić ludzki ból?

Czyja pieśń rozproszy,
Czarnych zwątpień zgrzyt,
Któż nam wieścić będzie,
Lepszej doli świat?

Smutnie lkają dzwony...
U cmentarnych wrót,
W bólu pogrążony,
Płacze polski lud.

W wiosenny wieczór, gdy za kraty wdierał się odurzający zapach kwiatów kasztanowych i dolatywał głos organów z kościoła Po-Dominikańców, gdzie odprawiano nabożeństwo majowe, samotnemu Kostrzemińskiemu, świeżo owdowiałemu, wyrывa się skarga:

A kiedy wieczór na świat spłynie.
W oknach kościelnych blask się nieci
I ponad mury świątyni leci
Pieśń, co w błękitach kędyś ginie.

Jak szum miotanych wichrem liści,
Tak tęsknie płynie ta pieśń ludu,
Od łez nabrzmiała, żadna cudu,
Co może nigdy się nie ziści.

A Ty, tajemnic mgłą okryty,
Czy słyszysz tę pieśń błagalną, Boże.
Co płynie drżąca hen, w błękity?
Ha! gdybyś słyszał! Tybys może
Zdjął z nas już wleniec z cierniów zwity,
Którymś uwieńczył nas, o, Boże, Boże...

W majowe popołudnie, w rymowane zdania
układa ogrom tęsknoty, wywołany wspomnieniami
uroków wiosny na wolności:

Noc... Naokół milczenie,
Pustka, mroki i cienie,
W ciszy słycać miarowy krok warty,
Serce rwie się i młota
I coś szepce tęsknota,
I coś ciągnie w świat wolny, otwarty.

Tam już wlosnał Tam złoty
Maj rozsnuwa pieszczoty
I świat cały w cud jeden zamienia,
W łonie ziemi i ludzi,
Nowe życie się budzi
I sny nowe i nowe marzenia.

W ciche, cudne godziny,
Śnią srebrzyste jaśminy
I bzy kwitną i róże się ploną;
Kędy spojrzeć — czar płynie!
W cichej wiosny godzinie,
Świat się czarem upaja i wonią.

Tu mrok, pustka, milczenie,
Słycać jeno westchnienie,
Lub jęk z piersi samotnej wydarty.
Serce rwie się i młota
I coś szepce tęsknota,
I coś ciągnie w świat wolny, otwarty.

W świat — gdzie słońce, gdzie wlosna,
Gdzie pieśń dźwięczy radosna,
Kędy blaski, uroki i czary.
Nim zapomną na świecie,
Żeś żył kiedyś, żeś przecie
Tęsknił, kochał, ach! kochał bez miary.

W świat, w świat pora,
Czas płynie!
Uchodź w nocnej godzinie,
Nim męczarnia chęć życia zagłuszy!
Uchodź, uchodź czempredzej
Z miejsca kaźni i nędzy,
Dość już męki, ach! dość już katuszy.

Tu noc, pustka, milczenie,
Słycać jeno westchnienie,
Lub jęk z piersi samotnej wydarty.
Serce rwie się i młota,
Uchodź — wola tęsknota...
W ciszy słycać miarowy krok warty!

Wnet jednak beznadziejny smutek przemienia
się w pełnię siły i wytrwałości:

Na twardy głaz ponurych skał,
Co dumnie wznoszą szczyty,
Splenionych fal uderza wał
I cofa się rozbity.
Spoglądam w dal: szeregiem fal,
Zastępy nowe płyną,
I znowu głaz odbija raz
I znowu fale giną.

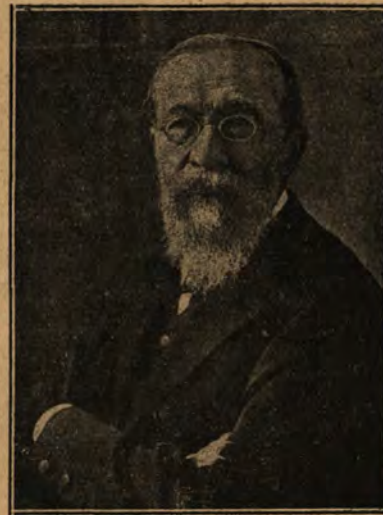
Lecz choć mi żal rozbitych fal,
Zwątpienia nie mam w duszy —
Nadejdzie przecież taki czas.
Że fala głaz ten skruszy!

Zwłoki towarzysza Kostrzemskiego spoczywają
w Orle. A tak pragnął, by proch jego znajdował
się w ukochanej ziemi polskiej...

Marjan Nowicki, <http://rcin.org.pl>

WILHELM WUNDT.

W czasach drobiazgowego podziału nauk na
dziesiątki działów i coraz bardziej rozwijającej się
specjalizacji w poszczególnych dziedzinach nauki dzia-
łalność naukowa Wilhelma Wundta wydaje się wprost
legendarną. Uczony ten opanował całokształt wiedzy
o życiu: zarówno organizmów jak też ducha. Zaczął
od badań fizjologicznych, a skończył na bada-
niach psychologii ludów i najwyższych dociekań filo-
zoficznych. Nie na wszystkich polach był istotnie
twórczym. Jako psycholog stworzył nową naukę: psy-
chologję doświadczalną, czyli fizjologiczną i tu no-
we odkrył tory. Tak samo jego „Psychologia ludów”
będzie podstawowym dziełem dla dalszych badań
w tym kierunku. W tej dziedzinie zasługi Wundta
są ogromne.



Mniej przysłużył się do rozwoju filozofji, gdyż
mało wniósł do niej oryginalnego. Na podkreślenie
zasługuje fakt znamieny, że Wundt, wyszedłszy
z nauk doświadczalnych i oparłszy psychologję na
doświadczeniu, mimo to w filozofji był metafizykiem
czystej wody, ulegając przytem wpływom dawnych
filozofów metafizycznych w rodzaju Spinozy i Hegla.
Ale i do filozofji wniósł Wundt niemało myśli wła-
snych, jak też własne sposoby ujmowania zagadnień
i metody badań.

Jego dorobek naukowy budzi zdumienie i po-
dziw. Do najważniejszych dzieł należą: „Wykłady
o duszy ludzkiej i zwierzęcej”, „Zasady psychologji
fizjologicznej” (3 tomy, wiele wydań), „Logika” (3
tomy), „Etyka”, „Wstęp do filozofji”, „System filo-
zofji” (2 tomy), „Psychologia ludów” (wielotomowe
dzieło), „Zmysłowe i ponadzmysłowe”, nadto cały
szereg innych dzieł, oraz niezliczona ilość prac dro-
bniejszych, porozrzucanych po czasopismach nauko-
wych.

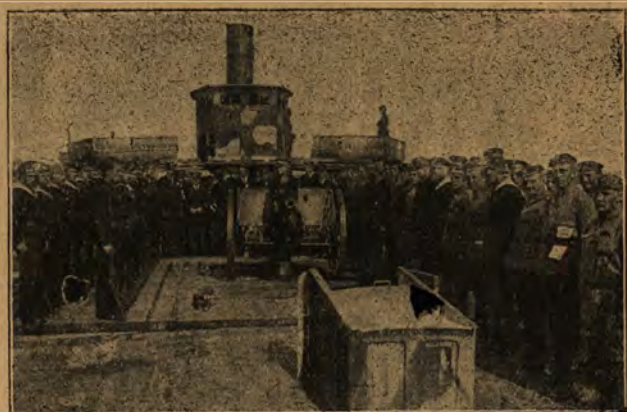
Wundt był profesorem filozofji i psychologji
w Lipsku, gdzie wykładał w przeciągu 50 lat i gdzie
założył pierwszy w świecie instytut psychologiczny.

Umarł w wieku 89 l., pracując do ostatniej
chwili..

Z dziejów inwazji bolszewickiej w Polsce.



Statek „Minister”, załoga którego odznaczyła się przy obronie Płocka przed bolszewikami.



Bohaterska załoga statku „Stefan Batory”, który odegrał wybitną rolę w walkach o Płock.



3 baterja 201 Ochotniczego pułku piechoty pod Ostrołęką.



Czołówka na froncie.



W rocznicę 5 sierpnia 1914 r.

J. Piłsudski ze sztabem w Kielcach, rok 1914.

1) Major Boerner. 2) Pułkown. Lińwinowicz. 3) Poseł Rzeczypospolitej Polskiej w Finlandji, M. Sokolnicki 4) Minister Spraw Wojskowych, generał Sosnkowski. 5) Naczelnik Państwa, J. Piłsudski. 7) Pułk. Trojanowski. 8) Major W. Sławek. 9) Porucznik G. Daniłowski.

J. Piłsudski w okopach, rok 1916.



WRAŻENIA Z WYCIECZKI.

(Odbytej dn. 20 — 25 lipca b. r.) *).

Warszawa. Piękne lipcowe popołudnie. Dworzec kolejowy. Gwar, bieganie podróżnych, śpieszących się do swych pociągów i przedziałów. O oznaczonej godzinie pociąg nasz cicho opuszcza peron,

*) Podajemy dziś ten urywek opisu wycieczki jaką przyjaciel naszej redakcji i współpracownik S. Sawicki odbył przed samą Inwazją bolszewicką, przechodząc szlak: Ostrołęka, Maków, Pultusk. Zawarta w niej charakterystyka stosunków wyjaśnia albo przyczynia się do wyjaśnienia przyczyn tak nieraz niezrozumiałego biernego zachowania się ludności wiejskiej wobec bolszewików. Ciekawe, że jedyna prasa, która docho-

mija zabudowania stacyjne, przedmieścia, aż wreszcie wydstaje się za miasto, gdzie, nabrawszy prawdziwego rozpędu, mknie hyżo przez pola, łąki, lasy.

Warszawa rozpolitykowana, rozagitowana; Warszawa, gotująca się do walki z najazdem, lamentująca a zarazem strojna i rozbawiona, oddała się z każdą chwilą. Jeszcze echa zgielku i wrzawy zda się słycać; jeszcze tysiączne plakaty i odezwy, rozlepione na murach miasta, urywki rozmów aktualnych, różne wzniosłe hasła i frazesy majaczą. Pod wpływem zieleni, łanów dojrzałego zboża, ogrodów i sadów, pełnych owoców — wszelkie echa życia miejskiego, życia gorączkowego, nerwowego, milkną. Myśl wypoczywa i odbiega daleko, daleko od aktualności życia ..

Kilka godzin takiej drzemki duchowej i stajemy u celu podróży — stacja Ostrołęka, skąd pięć wiorst końmi do miasta.

* * *

Jakże inaczej wygląda dziś stolica ziemi wolnych Kurpiów! Miast licznych domów — rumowiska; tu i owdzie, z pod bezkształtnej masy ziemi, cegieł i kamieni snuje się cienkie pasemko dymu — to ci, którzy w piwnicach, czy lepiankach ziemnych, skleconych naprędce, mieszkają. Rok temu takich lepianek było więcej. Dziś, na miejscu dawnych budowli wznoszą się, gdzieniegdzie, nowe; mniej zni-



Typy Kurpiów.

szczone i nadające się do użytku budynki odbudowano, to też jaki taki ruch i życie daje się zauważyć.

W porównaniu z tem, co się dzieje u nas, w Warszawie — tu, nawet jak na prowincjonalne miasto, zbyt wielka, aż niepokojąca cisza i spokój zalega. Ani złowrogie wieści z frontu, ani stosunkowo niewielka odległość od linii bojowej nie wywierają żadnego wpływu na tutejszych mieszkańców. Wszystko tu odbywa się zwykłym trybem. Żadnych środków zaradczych, żadnych celowych zarządzeń władzy, żadnych przygotowań do obrony — nie widać i o przedsięwzięciu takowych nie słychać. W licznych instytucjach społecznych, zbożna, organiczna praca, oraz wszelkiego rodzaju filantropja rozwija się podawnemu. W tym czasie Ostrołęka oczekiwała przybycia większych partji wygnańców ze wschodu, zdążających dalej na zachód. Wszak to przednie straże burzy, której na imię Wojna! Towarzyszą jej — śmierć,

zniszczenie i nędza... Może rzesze tych nieszczęśliwych ofiar wojny pobudzą ospałe społeczeństwo do czynu.

Że Ostrołęka nie stoi całkowicie poza aktualnością, liczne są tego dowody. Wszak nie jest to zaścianek, odcięty od świata i ludzi. Wypadki ostatnie są tu znane i komentowane... na zimno. Ale to nas nie powinno dziwić, sądzą bowiem, że pod tym względem społeczeństwo miejscowe nie stanowi szczególnego wyjątku na obszarach Rzplitej Polskiej.

Miałem sposobność rozmawiania z ludźmi, którzy skarżyli się na powiat, t. j. starostwo, że panikę sieje. Ile w tem było słuszności — nie wiem.

Opowiadano mi również z odcieniem trwogi w głosie, o agitacji bolszewickiej na wsi, uprawianej przez żydów — handlarzy (stara historia, wszystkiemu są winni żydzi!); o niechęci chłopów do wstępowania do wojska, o nastrojach przychylnych względem bolszewików, o groźbach pod adresem panów i księży, o dezertarach, ukrywających się po lasach i napadających o zmroku na ludzi i dwory i t. d. i t. d. Śród tego splotu zgodnych z sobą informacji o nastrojach ludności okolicznej — dodać należy, że pozbawiony komizmu fakt, iż najgroźniejszym elementem bolszewickim, miejscowym, według opinji miejscowych sióstr szarytek są... tercjarki, t. zw. zakon trzeci, które pod względem zachłanności niszczenia i rabowania cudzego dobra przewyższają mają zapędy prawdziwych bolszewików. Tymczasem tercjarki zachowują się spokojnie mimo wrogiego stanowiska względem wszelkiego rodzaju urządzeń społecznych. Pono wyczekują sposobnej chwili.

Na ulicach Ostrołęki nie widać ani odezw piśmiennych, ani plakatów, agitujących za wstępowaniem do armji, oraz popieraniem pożyczki Odrodzenia. Tu i owdzie zauważyć można wstydliwie wyzierające z czeluści sklepów okien, drzwi, skromne napisy: „Kupujcie Pożyczkę Odrodzenia“. O jakiejś agitacji żywej, słownej, ani słychać. Gadałliwa Warszawa nie zdebyła się dotąd na wysłanie ludzi na prowincję, którzyby w słowach żywych i mocnych przypomnieli społeczeństwu o potrzebach państwa i obowiązkach obywateli względem Ojczyzny.

Ostrołęka ożywia się dopiero wieczorem, w oczekiwaniu pism warszawskich, które w tym czasie przywozi poczta z kolei. Ciekawą rzeczą jest, czem się karmi społeczeństwo miejscowe. Otóż „Dwa grosze“ i „Rzeczypospolita“ — to dwa najpotężniejsze źródła informacji prasowych i pokarmu duchowo-patriotycznego. Lewicę reprezentuje „Kurjer Poranny“, przychodzący w niewielkiej ilości egzemplarzy. Te trzy pisma są sprzedawane na miejscu (w księgarni Majewskiego) i stanowią jedyną stołeczną prasę Ostrołęki.

S. Sawicki.



NOTATKI.

Teatr dla żołnierzy. Sekcja Opieki nad żołnierzem Robotniczego Komit. Obr. Niepodl. otworzyła w gmachu dawnego teatru Nowoczesnego (róg Jasnej i Sienkiewicza) w Warszawie — teatr dla żołnierzy, gdzie codziennie odbywają się składane przedstawienia. — Jest to pierwsza próba tego rodzaju. Pierwszy raz organizacja robotnicza dużym nakładem energii stworzyła miejsce udostępnienia sztuki dla robotników, dziś w mundurach żołnierskich chodzących. I trzeba przyznać, że z zadania swego wywiązała się dobrze, jeśli nie znakomicie. Poziom artystyczny przedstawień i atmosfera panująca w teatrze, głęboko różnią się od tego, co widzimy w podobnych instytucjach otaczanych opieką pań i panów, zajmujących się „opieką” nad żołnierzem.

Uczciwość wzajemna i szczerłość stosunków oto najważniejsze cechy tego robotniczego przybytku sztuki. Godzien on poparcia. A odwiedzającym go da szczerze zadowolenie.

Propaganda artystyczna. Związek artystów objął po wielu wysiłkach pieczę nad uliczną propagandą artystyczną. Ogromna szkoda, że tak późno udało im się to osiągnąć. Bo tymczasem na ulicach zaroilo się od najrozmaitszych brudnych plam, mających propagować obronę kraju.

Na niewygodne liczone gusta. Ale zapomniano o tym, że rozwieszanie na placach publicznych afiszów ma głębsze po za aktualnością znaczenie. Na afisze patrzy tłum i wywierają one na jego duszę to lub inne wrażenie. Afisze źle namalowane bez talentu i poczucia smaku, lub też barbarzyńsko brutalne i fałszywe i brzydkie, jak ów sławny Trocki w czerwonych trykotach, ani nie wywołują efektu agitacyjnego, ani też nie wnoszą do duszy ludu poczucia artystycznego, przeciwnie szkodzą tak samo, jak te jedyne bodaj po dziś dzień popularne oleodruki niemieckie, rozwieszane w restauracjach ludowych i mieszkaniach proletariatu. Nie zawsze jednak i afisze opatrzone trójką pieczęcią Związku Artystów stoją na odpowiednim poziomie.

Wystawa Retrospektywna w Zachęcie. Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie w swoim gmachu (róg Królewskiej i Mazowieckiej) urządziło wystawę mistrzów polskiego malarstwa. Zawieszane tu zostały obrazy jak artystów dawno zmarłych, tak i współczesnych. Wystawa ta pozwala zorientować się jak w różnicach różnych kierunków malarstwach, tak również i w rozwoju, jaki przeszła nasza sztuka.

Wydobyte ze zbiorów prywatnych i publicznych dzieła, zostały udostępnione szerokiej publiczności. Trzeba korzystać z tego i koniecznie zwiedzić wystawę. Szczególniej gorąco zachęcamy do tego towarzyszy robotników, którzy będą tu

mogli się zapoznać z dziełami najwybitniejszych i najbardziej różnorodnych talentów polskich.

Życie i Sztuka. Pod tym tytułem wychodzi we Lwowie*) ukraiński miesięcznik literacko-artystyczny. O sztuce ukraińskiej mało wiemy. Rosja przywłaszczyła sobie nawet naszego Siemiradzkiego i pamiętam wypadek, jak w Galerii Moskiewskiej jeden z socjalistów rosyjskich z wielkim powątpieniem odniósł się do mych słów w stosunku do szeregu zawieszonych tam dzieł tego malarza, że to dzieła polskiego artysty. Tembardziej w morzu rosyjskim ginęła sztuka ukraińska.

A sztuka ta najbardziej może związana z ludem. Sztuka ludowa ukraińska jest ogromnie rozwinięta i oryginalna. Miesięcznik „Życie i Sztuka” [uchyla nam rąbek bogactw artystycznych, kryjących się w duszy] narodu ukraińskiego. Trzeba dodać, że wielu dzisiejszych mistrzów ukraińskich wyszło ze szkoły polskiej: z Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Życzymy pismu bratniego narodu jak najlepszego rozwoju.

*) Adres Lwów Rynek 10/11.

WYNIK KONKURSU.

W wyniku ankiety, którą rozesało „Światło” swoim czytelnikom, w sprawie bezpłatnego premjum okazało się, że największą ilość głosów otrzymał obraz J. Małczewskiego p. t. „Śmierć” (zeszyt 5).

Ten też obraz, po załatwieniu formalności rozesełmy w reprodukcjach artystycznych naszym czytelnikom.

DO PRENUMERATORÓW „ŚWIATŁA“.

Prosimy o przesyłanie pieniędzy tylko zapo-
mocą przekazów pocztowych lub czeków P. K. O.,
gdyż odbieranie pieniędzy w listach wartościowych
sprawia Administracji wiele trudności i utrudnia re-
gularną wysyłkę pisma.

Wyszedł z druku ZBIÓR POEZJI

WACŁAWA BUDZYŃSKIEGO

p. t.

„SNY I RZECZYWISTOŚĆ“

nakładem Tow. Wyd. „ŚWIATŁO“.

WARUNKI PRENUMERATY, z przesyłką do domu: półrocze I sze (od zesz. 1 do 1 lipca) — mk. 100,
półrocze II — mk. 120, kwartalnie — mk. 60.

W Administracji miesięcznie mk. 12. Konto czekowe P. K. O. № 798.

CENY OGŁOSZEŃ: z a tekstem: Cała strona 2000 mk., — pół strony — 1000 mk., jedna czwarta strony 600 mk. — jedna ósma strony — 300 mk., — jedna szesnasta strony — 150 mk. W t e k ś c i e: przed rubryką „Z wydawnictw” miejsce wiersza nonparelowego — 15 mk.

ADRES: REDAKCJI POLNA № 66, MIESZK. 54; ADMINISTRACJI WSPÓLNA 17.

Redakcja otwarta codziennie od 5 — 6 wiecz. — Administracja czynna codziennie od 10—1 i od 3—6.

REDAKCJA: JAN REMBOWSKI, JERZY SOCHACKI, ANDRZEJ STRUG, ZYGMUNT ZAREMBA.

Redaktor i Wydawca: Z. ZAREMBA. Kierownik literacki ANDRZEJ STRUG. Kierownik art. JAN REMBOWSKI.

P. II
421

Ine